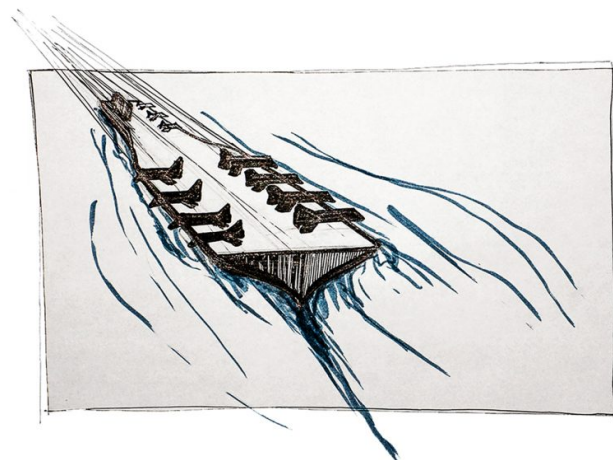


magazynkontakt.pl

Balcerowicz: Dziś nikt nie wierzy w to, że USA chciały wprowadzić demokrację na Bliskim Wschodzie

35-45 minutes



ilustr.: Helena Jabłonowska

Z Piotrem Balcerowiczem, filozofem, orientalistą i kulturoznawcą, profesorem Uniwersytetu Warszawskiego, rozmawia Jędrzej Dudkiewicz.

Zacznę nieco pod prąd: czy jest pan w stanie wskazać jakiegokolwiek pozytywne efekty wieloletniej i intensywnej obecności USA na Bliskim i Środkowym Wschodzie? Cokolwiek się udało, cokolwiek miało sens?

Analizując zdarzenia, które miały miejsce po 1945 roku, przyznam, że niestety nie. Problemy, z którymi mierzymy się dzisiaj, na przykład z Państwem Islamskim, religijną radykalizacją muzułmanów, wzrostem liczby reżimów na Bliskim Wschodzie i w efekcie brakiem demokracji, są w dużym stopniu rezultatem amerykańskiej polityki – jej skrajnej krótkowzroczności, niezrozumienia kontekstu kulturowego, uznania, że pieniędzmi i karabinami można rozwiązać każdy problem, a zwycięstwo militarne oznacza zwycięstwo ostateczne. Tak nie jest, czego idealnym przykładem jest dwudziestoletnia obecność Amerykanów w Afganistanie, która była kompletną porażką.

Jak obecność Amerykanów w Afganistanie wpłynęła na stosunek tego społeczeństwa do demokracji?

Dwadzieścia lat temu można było jeszcze sądzić, że ludzie myślą tam pozytywnie o demokracji, obecnie mało kto powie coś dobrego na jej temat. Mieszkańcy Afganistanu kojarzą ją z formą neokolonializmu i budowaniem państwa quasi-mafijnego. Innym przykładem jest Arabska Wiosna, która zakończyła się fiaskiem, może z wyjątkiem Tunezji, w której Amerykanie nie byli zbyt obecnymi. W Egipcie, przy współudziale pieniędzy i dyplomacji USA, Arabska Wiosna została zdławiona, bo Amerykanie woleli poprzeć nowy reżim generała Sisiego niż demokrację – rozchwianą, bo Egipcjanie nigdy nie mieli okazji się jej nauczyć, ale demokrację – kierującą się celami Kairu a nie Waszyngtonu. Jeszcze jeden spektakularny przykład to Libia i próba usunięcia Mu'ammara al-Kaddafiego, i wprowadzenia nowego ładu. W efekcie działań USA cały Sahel, czyli obszar Afryki Subsaharyjskiej, i dalej aż po Mozambik, jest miejscem pełnym pączkujących organizacji islamistycznych, w dużym stopniu korzystających z broni

pierwotnie dostarczanej przez USA i Europę opozycji w Libii w celu obalenia al-Kaddafiego. Dodajmy do tego Syrię czy Irak, czyli kraje całkowicie dysfunkcjonalne, które pozostaną takimi na wiele lat, i mamy obraz jednej, wielkiej porażki.

Czy do pozytywów nie można by zaliczyć porozumień z Oslo albo umowy nuklearnej z Iranem? Z drugiej strony, one nie przynoszą oczekiwanych efektów, a nawet jeśli, to te są trwonione. Z czego wynika ta krótkowzroczność i brak umiejętności uczenia się na własnych błędach?

Obie konferencje z Oslo – z 1993 i 1995 roku – miały rozwiązać konflikt izraelsko-palestyński, a nawet szerzej: izraelsko-arabski – doprowadzić do pokoju i stabilizacji w regionie. Nic z tego nie zostało. Pamiętam zresztą Izrael sprzed dwudziestu lat, wiem, jaki jest teraz. Wtedy scena polityczna była centralno-lewicowa, obecnie – z wyjątkiem około piętnastu miejsc w Knesecie – jest skrajnie prawicowa, radykalna, religijna. Nikt już tam nie myśli o celu, który przyświecał konferencjom w Oslo, czyli stworzeniu dwóch koegzystujących państw: niezależnej Palestyny i Izraela. To jest kompletna mrzonka. Posunięcia kolejnych administracji USA dały Izraelowi wolną rękę, czego efektem jest brutalna, okupacyjna, kolonialna polityka na ziemiach palestyńskich.

Jeśli chodzi o porozumienie nuklearne z Iranem z 2015 roku, to dałoby się je zawrzeć dużo wcześniej, ale głównym hamulcowym byli Amerykanie. A nawet gdy wreszcie do niego doszło, to USA zaczęły wprowadzać nowe embarga jeszcze za czasów Obamy. Natomiast zerwanie tego porozumienia z Iranem przez Trumpa praktycznie zmusiło Iran do powrotu do wcześniejszych planów nuklearnych, które – warto dodać – istniały od lat 60. XX wieku. Za czasów Szacha Mohammada Rezy